

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“	Nr. 7. 24. Listopada 1867.	Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową
rocznie . . . . 6 złr. — ct.		rocznie . . . . 7 złr. — ct.
półrocznie . . . . 3 „ — „		półrocznie . . . . 3 „ 50 „
ćwierćrocznie . . . . 1 „ 50 „		ćwierćrocznie . . . . 1 „ 80 „
Zeszyt miesięczny . . . . . . — „ 60 „		W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz. 1 tal. 15 sgr.
Pojedynczy numer . . . . — „ 20 „		We Francji ćwierćrocznie . . . 6 franków.

J. I. Kraszewski.

I.

Blisko pół wieku literackiej działalności (bo w r. 1831 wyszło drukiem pierwsze dzieło Kraszewskiego: Pan Walery) byłoby jedną z pomniejszych zalet tego pisarza, gdyby ta czynność nie pozostawiła po sobie tak znamienitych skutków, jakiemi ledwie kilku pierwszorzędnych pisarzy u nas poszczycić się może.

Kraszewski był bardzo młodym gdy rozpoczął zawód literacki. Mając lat 18 napisał już rozprawę, która przy konkursie o katedrę lektora języka polskiego przy uniwersytecie kijowskim uzyskała pierwszeństwo i zjednała mu zamianowanie lektorem. Katedra ta nieweszła w życie, bo mikołajowskie rządy rozpoczęły były właśnie systematyczne tłumienie polszczyzny. Było to w r. 1831.



J. I. Kraszewski.

Dziecko Warszawy, gdzie się urodził w r. 1812, nie był on jednak z tem miastem żadnym innym węzłem połączony. Pora, w której Kraszewski rozpoczynał swoje życie literackie była to pora, kiedy według historycznego kłamstwa Sebastianiego: „Porządek panował w Warszawie“ — porządek podobny do dzisiejszego. Obok ucisku był i upadek moralny. Znać nienastręczała Warszawa miłego pobytu młodemu, ognistemu talentowi. Opuścił on Warszawę już w r. 1835 i osiadł na wsi na Wołyniu, gdzie dał nam najlepszy dowód, że gospodarstwo i to mozolne, bo trzymał dzierżawę, nie staje czynnemu umysłowi bynajmniej na przeszkodzie w pracy literackiej.

Od r. 1831 zacząwszy niemasz roku, w którymby przynajmniej jedno, a często więcej dzieł jego nie wyszło w druku.

Zaczął Kraszewski od powieści. Powieść jego lekka, naśladowała formy francuzkich powieściopisarzy i chromała też na te same wady. Powieści pierwsze Kraszewskiego zdają się być pisane z gorączkowym pośpiechem, jakoby autora parła niezwalczona siła do wylania na papier tego, co bezustannie wrące serce czuło, a nieutrudzona w tworzeniu wyobraźnia ciągle na nowo tworzyła — do wylania prędko i od jednego rzutu, bo obrazy i myśli tłoczyły się jedne za drugiemi.

Będąc zaledwie w 26 roku życia swego zdumiewał już Kraszewski nie tylko świat literacki polski, ale i najszersze koła czytelników niezmierną obfitością pióra, nieznaną dotąd u nas płodnością talentu. Że wśród tego nawału prac nie mogło być wszystko doskonałe, o tem nie potrzebujemy nawet mówić. Olbrzymia pracowitość musiała tembardziej zastanawiać, że oprócz powieści pojawiły się zaraz w pierwszych latach jego czynności prace historyczne, którym zarzucano nawet „przesadną oschłość erudyta historyka.“

Od roku 1831 do 1835 liczyć można pierwszy perjod jego zawodu literackiego. Wydał on w tym czasie: Pana Walerego, Wielki świat małego miasteczka, Pana Karola, Cztery wesela, Ostatni rok panowania Zygmunta III. i Kościół święto-michalski w Wilnie.

Osiadłszy na Wołyniu był współpracownikiem „Tygodnika Petersburgskiego“ razem z Henrykiem Rzewuskim i Michałem Grabowskim. W tym perjodzie, od r. 1835 do 1838 (w którym to roku ożenił się Kraszewski z Zofią Woroniczówną, synowicą prymasa i osiadł we własnej majętności na Wołyniu) pojawiły się prócz prac umieszczonych w „Tygodniku:“ Poezje, Szatan i kobieta, Ulana, Witoluranda i Wędrówki literackie. Obok więc prac historycznych i powieści zbogacony został zasób jego płodów lirycznemi utworami, epopeją i krytycznemi pracami. W każdym z tych tak różnorodnych zawodów zajął Kraszewski jedno z celujących stanowisk. Rozbiór i ocenienie dzieł jego pod względem artystycznym i

literackim nie jest zadaniem naszej niniejszej pracy. Chodzi nam bardziej o wskazanie stanowiska publicznego, jakie Kraszewski zajął, idąc ku temu drogą, jedynie możliwą pod rządem moskiewskim, jedyną, której rząd ten jakkolwiek ścieśniał ile mógł, nie zdołał jednakże nigdy zamknąć zupełnie. Od r. 1835 do 1841 liczymy drugi okres literackiej czynności Kraszewskiego.

Już w dwóch tych okresach wpłynął Kraszewski tak potężnie na swój naród, że książki polskie zaczęły zastępować francuzką i niemiecką beletrystyczną literaturę między płcią piękną zwłaszcza i młodzieżą. Zepchnął on też z pola owe liche tłómaczenia lichych oryginalnych powieści obcych, w które przedtem obfitowało nasze pismiennictwo. Zachęcił zresztą do czytania tę część publiczności, która nie czytywała ani obcych oryginałów ani tłómaczeń, już dla nieznajomości języka, już dlatego, że przedmiot ich nie zajmował. Kraszewski zajął jednych swojskością przedmiotu, zwrócił uwagę innych przez chłostanie wad obyczajowych w naszem społeczeństwie, zachęcił trzecich przez naukę, jakiej mogli z dzieł jego zaczerpnąć bez mozoły, w lżejszej, powabnej formie, ujmował wszystkich ciepłem uczucia, żywością obrazów i gorącą miłością ojczyzny, która tryskała z dzieł jego przez lodowate okowy, jakiemi je krępowała cenzura moskiewska.

Drugi okres obfituje we wielką ilość prac najróżnorodniejszych. Oprócz wspomnionych już wydał on aż do r. 1841 mnóstwo powieści wszelkiego rodzaju. Żadne pole nie było mu obce. Społeczne i historyczne, obyczajowe, humorystyczne, ludowe i szlacheckie. liryki i prace dramatyczne, krytyki, obrazy z podróży, archeologja i historyczne studja, (nawet filozoficzne prace) płynęły z pod pióra jego jak z rogu obfitości.

Stanął też Kraszewski już w tym drugim okresie, pominąwszy to, żeśmy go wtedy zaliczyli do pierwszorzędnych literatów a nadewszystko powieściopisarzy, na takiem stanowisku w narodzie, że nieznać jego imienia było wstydem dla Polaka.

N a u c z y ł o n c z y t a ć p o l s k ą p u b l i c z n o ś ć. Książki jego znalazłeś wszędzie: od zaścianka szlacheckiego na poczciwej Litwie, od izdebki studenta galicyjskiego kryjącego się przed śledczem okiem policji ze swojem zamiłowaniem do ojczystego piśmiennictwa, od domku oficjalisty prywatnego po wsiach całej Polski lub warsztatu rzemieślniczego w znaczniejszych jej miastach, aż do świetnych salonów stolicy, w całej Polsce znalazłeś to lub owe dzieło jego według tego, które jednej lub drugiej warstwie społecznej bardziej przypadało do serca.

Właśnie to, że wszystkich zadawalniał brali mu niektórzy za złe. Jedni ganili powieść satyryczną, bo się poczuwali do winy wychłostanej, drudzy ganili prace idealizujące przeszłość; jedni chwalili ludowe a ganili szlacheckie, drudzy przeciwnie; tym niepodobały się liryki, innym dramata; jednym nie był dosyć uczonym w pracach naukowych, drugim za wysoko uczony; ale każdy go czytał i każdy ganiąc jedno, chwalił drugie.

Wiktor Hugo powiedział, że ganiący go przyczynili się najwięcej do jego sławy, bo jeden zganił dramata i radził Hugonowi aby pisał liryki, w których go uznał za doskonałego; inny ganił liryki a kazał pisać powieści, w których go uznał za mistrza; trzeci nareszcie powiedział, że Hugo jest wprawdzie klasycznym dramaturgiem, ale żeby dał pokój powieściom i lirykom. Podobnie może powiedzieć Kraszewski. Wszystko co pisał miało i chwalców i naganiaczy, a to dowodziło, że wszystko co pisał miało wartość; naganiacze jednej rzeczy byli chwalcami drugiej, a imię jego było w ustach całej Polski. Co więcej, jedno z najznamienitszych dzieł jego: P o e t a i ś w i a t zostało przełożone na obce języki.

Tak stał Kraszewski przy rozpoczęciu trzeciego okresu, który datujemy od r. 1841 kiedy zaczął wydawać A t e n e u m.

Czytając przedtem co roku parę nowych prac Kraszewskiego, a oprócz tego po wszystkich (nielicznych wówczas) pismach polskich drobniejsze jego artykuły, będąc zresztą już wtedy świadomym tego stanowiska, jakie Kraszewski potrafił zająć w narodzie — myślałem nieraz, że najstosowniej byłoby, aby wszystkie prace swoje zbierał w jednem piśmie czasowem i wydawał je sam. Znać poczuł i Kraszewski tę potrzebę, bo zaczął od r. 1841 wydawać pismo czasowe pod napisem: „Ateneum.“

Pismo to miało i musiało mieć wziętość, już dla tego samego, że było pismem Kraszewskiego. Jednakże, ile nam wiadomo, więcej się rozchodziło po Polsce pism jego osobno wychodzących niż „Ateneum.“ Nieustępowały prace jego, ogłaszane w „Ateneum“ co do wartości żadnemu z innych dzieł jego, oprócz tego były tam prace innych znamienitych pisarzy. Publiczność nasza była i jest dotąd bardzo mało wdrożona w czytanie pism czasowych poważniejszych, (tak zwanych za granicą p r z e g l ą d ó w) które wkładają na nią jakoby obowiązek ciągłego czytania. Większość woli czytać dorywczo, od razu przeczytać całość i rzucić książkę przeczytaną raz na zawsze. Kraszewski chciał naszą publiczność nauczyć statecznego i poważnego czytania. Nie udało to się tak świetnie, jak mu się pierwsze zadanie udało: nauczyć ją w ogóle czytać. „Ateneum“ wychodziło przez lat jedenaście. Aleć to samo już było niepospolitem zwycięztwem, że Kraszewski zdołał otrzymać to pismo przez tak długi przeciąg czasu.

Przestał on wydawać „Ateneum“ w r. 1852 kiedy w Warszawie obudził się żywszy ruch literacki i zaczęły współzawodniczyć ze sobą dwa dzienniki: „Dziennik Warszawski“ i „Gazeta Warszawska.“ Ten też przeciąg czasu od r. 1841 do 1852 uważamy za trzeci okres w kolejach literackich Kraszewskiego.

Odznaczał się ten jeszcze bardziej niż poprzednie obfitością prac wydanych przez Kraszewskiego, a były między temi nietylko rzeczy celującej wartości pod względem artystycznym, lecz oraz prace wielkiej erudycji i głębokiej myśli. Nie mogąc wszakże w szczupłe ramy niniejszej pracy naszej objąć literackiego rozbioru prac Kraszewskiego, musimy się ograniczyć na wzmiance o najważniejszych jego pracach, a główną uwagę chcemy poświęcić stanowisku publicznemu jego, którego dotychczas prawie zupełnie nikt nie uwzględnił. Około trzydziestu dzieł, między temi wiele kilkatomowych jest owocem tego jedenastoletniego okresu. Poczuwamy się do obowiązku podnieść z pomiędzy tych, nieocenioną według zasługi, a naszem zdaniem wysoko stojącą trylogję epiczną pod tytułem A n a f i e l a s, której pierwsza część: W i t o l u r a u d a wpada w poprzedni okres; w tym okresie wyszły druga część: M i n d o w s i trzecia: W i t o ł d o w e b o j e.

Okres ten obfituje w prace historyczne lub na historycznem tle osnute, jak: W i l n o o d p o c z ą t k ó w d o r. 1750; L i t w a, s t a r o ż y t n e d z i e j e, u s t a w y, j ę z y k, o b y c z a j e, p i e ś n i, p r z y s ł o w i a, p o d a n i a; P o m n i k i d o h i s t o r j i o b y c z a j ó w w P o l z c e; Z y g m u n t o w s k i e c z a s y, Ż a c y k r a k o w s c y, O s t a t n i a z k s i ą ż ą t S ł u c k i c h, S t a ń c z y k o w a k r o n i k a. Z pomiędzy rzeczy treści ściśle literackiej godne uwagi: S t u d j a l i t e r a c k i e i N o w e s t u d j a l i t e r a c k i e. Z beletrystycznych współczesnych: L a t a r n i a c z a r n o k s i ę z k a, M a l e p a r t a, P o d w ł o s k i e m n i e b e m. Nareszcie W s p o m n i e n i a W o ł y n i a, P o l e s i a i L i t w y i W s p o m n i e n i a O d e s s y, J e d y s s a k u i B u d z i a k u dają nam cenny obraz tych krain. Powtarzamy, że niepodobna jest nawet wymienić wszystkie pisma Kraszewskiego, aby nie zapełnić suchą bibljografją znacznej części naszej pracy.

Niezmordowana praca obok żywej ciągle twórczości oraz zamiłowanie sprawy publicznej zniewoliły nawet rząd moskiewski uznać w Kraszewskim powagę, jaką sobie zjednał w narodzie. Zamianowany kuratorem okręgu naukowego żytomierskiego, którato posady honorowe rząd moskiewski zwykł był nadawać najznakomitszym mężom w naukach i literaturze, osiadł Kraszewski w Żytomierzu.

Ile pożytku przyniósł szkole żytomierskiej, ile młodzieży zawdzięcza jemu zachętę i poparcie w zawodzie naukowym i literackim, ilu talentom wskazało kuratorstwo jego świetne tory, to zdołają kiedyś dopiero późniejsze czasy wyświecić w zupełności — gdy wolno będzie mówić i pisać tym, których przytłoczył grobowy ucisk moskiewskiego despotyzmu. Nie ograniczał on się na tem i uczynił więcej, niż się można było spodziewać po obywatelskiej działalności pod rządem moskiewskim. Że teatr polski w Żytomierzu mógł się ostać przez jakiś czas, to było głównie dziełem Kraszewskiego. My doznaliśmy tego, co znaczy teatr narodowy w obec wrogich dla narodowości żywiołów. Ocenił też naród zasługi Kraszewskiego w tym względzie, odwdzięczył mu czem mógł odwdzięczyć, oznakami czci najwyższej, gdziekolwiek tylko stąpił Kraszewski na polskiej ziemi.

Nadmienić jeszcze musimy o dążności społecznej, przebijającej się w jego pismach. Spotkało go pod tym względem wiele zarzutów. Znaleźli się tacy, co go pomawiali o chwiejność i niestałość w zasadach Jego Ostap Bondarczuk i Jaryna, oburzyły przeciw niemu koła staroszlacheckie. Idealizowanie znowu tego, co było godnem tego z dziejów szlacheckich, niepodobało się postępowym. Nasze przekonanie jest, że Kraszewski ukochał przedewszystkiem wszystko, co jest polskie, ale oprócz tego przeważa w nim nienawiść wszelkiego ucisku, miłość ludu i ta jest wybitną cechą nie tylko pism jego, ale i obywatelskich usposobień. (Dok. nast.)

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

(Ciąg dalszy).

II.

Moja córka najstarsza, Anna... — odezwała się pani Dubynina.

Zamieniłem z panienką ukłon, Handzia dygnęła przy samych drzwiach, pokraśniała po same uszy, spuściła oczy, postąpiła kilka kroków, usiadła obok matki i coś jej do ucha szepnęła.

— Pozwoli pan dobrodziej koniki kazać wyprządz?... — rzekła pani.

— Niech sobie postoją — odrzekłem — mam krótki z panem Dubyną do załatwienia interes i natychmiast odjadę...

Wyraz „natychmiast“ jakoś z trudnością przez gardło mi się przepchał.

Handzia spojrzała na mnie szeroko otwartemi oczami, w których się odmalowały trwoga i zdziwienie i które elektrycznemi iskrami na mnie sypnęły.

Pani podchwyciła:

— Do nas, panie dobrodzieju, rzadko ludzie zaglądają, ale od nas nikt głodno nie odjeżdża... Niechże pan pozwoli koniki wyprządz.. Konie obrok zjedzą, ludzie przekąszą, a pan dobrodziej pozwoli sobie coś ofiarować... Mąż mój jak się dowie, że tak długo pan dobrodziej czekał, a konie stały, będzie się na nas bardzo gniewał.

Na wyrazie „bardzo“ był przycisk, który mówił, że pan Dubyna umie się gniewać. Ten przycisk rozbroił mnie. Wymawiałem się wprawdzie, lecz niedługo opierałem się serdecznemu naleganiu, brzmiącemu takim akcentem, jakby mnie ta kobieta o największą dla siebie błagała łaskę. Zezwoliłem.

— Powiedz, Handziu, niech wyprzęgną — rzekła do córki.

— Niech pani pozwoli — podchwyciłem.

I poskoczyliśmy razem. Panna Anna zerwała się jak spłoszony ptak. Ja z mojej strony dołożyłem całej potęgi pospiechu... Rzuciliśsię ku drzwiom i spotkaliśmy się na progu, jak dwie kule na bilardzie, ku jednemu silnie pchnięte punktowi. Stuknęliśmy jedno o drugie, odskoczyliśmy od siebie, wymówiliśmy jednym głosem „przepraszam,“ razem przebiegliśmy przez sień, razem wybiegliśmy na ganek i na ganku dopiero panienka ustąpiła mi pierwszeństwa, kiedy ja wołałem na furmana.

— „Wyprząż konie!...“

Ona milczała.

Kiedy wygłosiwszy rozkaz do niej się zwróciłem, ona rzekła:

— Dziękuję...

Prześliczny, rozczulający uśmiech, okrasił jej rumiane, wiejskim zdrowiem jaśniejące jagody.

Nie chciało mi się wracać do izby — tak mi było słodko, miło obok tego uśmiechniętego dziewczęcia. Lecz przyzwoitość ma swoje prawa. Wróciliśmy. W izbie, pani powitała nas jednym ku nam obojgu zwróconym uśmiechem.

Nie jestem wstanie powtórzyć wszystkie szczegóły tej pierwszej mojej w Jarach wizyty. Mąci mi się w pamięci, a to dla tego zapewne, że uwagę moją całkowicie pochłonęła ta czarodziejka, ta leśna nimfa, co niby brylant pierwszej wody opromieniała sobą skromny dworek, proste umeblowanie i wiejskie otoczenie. Pamiętam tylko, że nie długo czekaliśmy na ojca, a po przyjściu ojca wkrótce nakryto do stołu i podano jedzenie. Pamiętam, że po jedzeniu zapraszano mnie na noc: ale nie dałem się uprosić — czemu? z tego sobie dokładnie sprawy zdać nie umiem. Podobno czułem gwałtowną potrzebę pozostania sam z sobą i zebrania doznanych wrażeń w jedno ognisko. Nie dałem się uprosić, o zachodzie słońca wyjechałem i późnym wieczorem zajechałem do S. na nocleg. O powrocie do Widów w tym samym dniu nie było co myśleć.

O żołędziach — ma się rozumieć — zapomniałem.

Szumiało mi w uszach i migało w oczach. Potrzebowałem sporo czasu, ażeby do normalnego powrócić stanu. W łóżku dopiero zacząłem rozmyślać nad wszystkiem, com widział i słyszał.

Zabrałem znajomość z całą państwa Dubynów rodziną: z panem, panią, panną Anną i ze wszystkiemi jej braciszkami i siostrzyczkami, których było jedenaście sztuk, od czternastoletniego zaczynając na trzyletniem kończąc. O tych niemam co pisać. W lesie to wychowane, więc zrazu dzikie, następnie do najwyższego stopnia naprzykrzone.

Panna Anna bardzo mi się podobała. Śliczna, zachwycająca dziewczyna! niby polny kwiat, z tych jednakże, co to, jak fiołki lub konwalje, naturalną obdarzone są wonią. Miała w sobie coś oryginalnego a własnego, coś co malarzowi posłużyćby mogło do obrazu z podpisem: zadumana radość. W oczach jej figlarny jakiś mieszka demonek, na koralowych ustach wisiał wieczny uśmiech, a po za tym demonkiem i tym uśmiechem ukrywała się, niby przez nich zamaskowana, jakaś dziwna tajemniczość, niby przepaścista głębia, budząca żądzę zbadania, co jest na jej dnie. Kibić miała topolową, powiewną.

Sam siebie zapytywałem: czy się w niej rozkochałem? I odpowiadałem sam sobie: nie. — Ale bardzo mi się podobała.

O jej matce zachowałem to samo mniemanie, jakie o tej kobiecie powyżej wyraziłem. Biedna męczennica!... tyle dzieci wydała na świat. A wiedzieć potrzeba, że dwoje, które się po Handzi urodziły, pomarły.

Pan Dubyna wydał mi się człowiekiem poczciwym ale twardym i surowym. Zauważyłem, że dzieci przed nim drżały. Na jedno jego spojrzenie rozgrymaszony chłopak, który miał wielką ochotę zapłakać, zęby zacisnął, łzy połknął i zamilkł. Żona i starsza córka bojaźliwie wpatrywały mu się w oczy i czytały w nich jego wolę. A były to oczy wielce wyraziste, siwe, pod grubemi schowane brwiami, przy uśmiechu łagodne, bez uśmiechu surowe. Głowę jego gęsta przykrywała siwizna. Nosił wąsy, ale rzadkie i krzaczyste, nie osłaniające wązkich ściętych ust. Wzrostu był więcej trochę niż miernego, budowy ciała kształtnej, silnej i suchej.

W obejściu się ze mną zdradzało się w nim z początku niejakie zaambarasowanie. Nie wiedział widocznie, jak mnie traktować: czy jak oficjalista pana, czy też jak równy równego. Pierwszą po przywitaniu rozmowę zaczął górnym nieco stylem od tego, iż „dumnym się czuje, że na jego ubogą chatę spadł tak wielki zaszczyt.“ Zatytułował mnie parę razy wielmożnym panem. Lecz prędko z zaszczytem się oswoił i „wielmożny“ zamienił na „mocium panie.“

Na czem właściwie upłynęło kilka godzin tej pierwszej bytności mojej w Jarach? — dalibóg że, nie pamiętam. Jedno mnie dziwiło, to mianowicie to: jak mnie, jakby tam nie było pana w porównaniu z Dubyną, przyzwyczajonemu do salonowych towarzystw, ogładzonych polorem wielkiego świata, do posadzek i wykwintnych mebli, mogło się podobać w tym dworku, za tym stołem, pokrytym grubym obrusem, w towarzystwie tych ludzi, którzy o ogładzie wyobrażenia nie mieli!... jak mi mogło smakować jedzenie, podawane przez tłustą sapiącą dziewkę w zapasce i zgrzebnej koszuli?... jakim sposobem to się stało, że się rozmowa ani na chwilkę nie urwała, że jadłem z wielkim apetytem i że się dużo śmiałem!... Gdy odjeżdżałem, cała rodzina, dzieci nie wyłączając, na rany Chrystusowe zaklinała mnie, ażebym jak najprędzej znów przyjechał. Przyrzekłem uroczyście, że tego nie omieszkam uczynić.

Przyrzekłem szczerze i im i sobie: miałem bowiem niezachwiane postanowienie przyrzeczenia dotrzymać.

Na pretekscie nie zabrakło. Przyjechawszy do Widów, jak tylko próg mego domu przestąpiłem, natychmiast przypomniałem sobie, żem żołędzi nie kupił. Żal mi się zrobiło mojej biednej chlewni. Ten ża

matka moja wyczytała w moich oczach i poznała go z westchnienia, które, gdym się do pocałowania jej ręki nachylił, z piersi mi się wydarło.

— *Décidément*... jesteś smutny...

— Ach, mamo!... mam wielkie zmartwienie...

— Cóż takiego?...

— Och!...

— Ale, przecie?...

— Zapomniałem kupić żołędzi...

— Żo...łę...dzi?!... — zapytała matka ze zdumieniem, dzieląc sylabę od sylaby i każdą z osobna wymawiając z przyciskiem.

Westchnąłem. Lecz z tonu zapytania matki poznałem, że w tym względzie nie mogłem rachować na współczucie mojej rodzicielki. W życiu po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że matka moja ma pewne uprzedzenia, pewne przesądy, nie koniecznie przypadające do miary i rodzaju uczuć, jakie pierś moją napełniły. Usunąłem się więc z przed jej oczu, na osobności nastroiłem minę na wesoły ton i gdy powtórnie znalazłem się w jej obecności, nie mogłem pohamować wybuchów radości.

— *Décidément*... jesteś wesół...

— Och, mamo!... mam wielką radość...

— Cóż takiego?...

— O!...

— Ale, przecie?...

Znów żołędzie nawinęły mi się na język, lecz przytrzymałem je w gębie. Usiadłem koło niej i pocałowałem ją w rękę.

— Coś niezwykłego zaszło z tobą w ostatnich dniach... Czyś się nie zaangażował pod sztandary tych deklamatorów, którzy posiadają talent zawracania głów młodym ludziom?...

— Ale gdzież tam?...

— Dokąd-że jeździłeś?...

Zagadnięty w ten sposób, zostałem przyparty do muru. Odpowiedzieć nie mogłem i nieodpowiedzieć nie mogłem. Pomiędzy odpowiedzeniem i nieodpowiedzeniem, przepłynąć umiałem, niby okręt pomiędzy Scyllą a Charybdą. Szukałem więc ratunku w półkłamstwie. Powiedziałem, że byłem w T., przemilczając o Jarach i o wszystkiem, co się do Jarów odnosiło. Rozmowa spadła na hrabiego P. i w ten sposób odwróciłem starcie, jakie niechybnie nastąpićby musiało pomiędzy mojem nieokreślonem jeszcze uczuciem, a matczynemi doskonale mi znanemi przesądami.

Nazajutrz równo ze świtem wyruszyłem znów... po żołędzie... do Jarów. Tym razem wybrałem się skromniej, bo najtyczanką i parą końmi.

Pojechałem, i nie targując się, kupiłem, nie pamiętam już dziś ile korcy, na które dałem zadatek. Wkrótce potem pojechałem z wypłatą całkowitej kwoty. Umówiłem się zrazu, że przyszlę po żołędzie moje fury, lecz przyszło mi na myśl, że lepiej by było, gdybym zmienił umowę i ułożył się w ten sposób, ażeby pan Dubyna dostawę wziął na siebie. Znów przeto pojechałem i na dostawę zostawiłem zadatek, a wkrótce potem powiozłem całą należność. Następnie coś mi się nie podobało w terminach. Więc z powodu terminów kilkakrotnie wymykałem się do Jarów i za każdym razem po parę dni tam spędzałem. Słowem, nie było tygodnia, ażeby interes mojej chlewni nie prowadził mnie niegodziwemi drogami w las dębowy, do dworku w Jarze. Gospodarska moja troskliwość całkowicie i wyłącznie zwróconą była na chlewnię. O wołach, owcach, koniach, o posiewach i zbiorach ani myślałem. Chlewnia tylko mnie obchodziła i dla niej...

Czytelnik, któremu pamiętnik wpadnie kiedyś w ręce, z łatwością się domyśli, że był to tylko pretekst, maskujący istotny powód, który mnie ciągnął. Tego powodu sam przed sobą nie wyjawiałem, a to dla tej prostej przyczyny, że wyjaśnić go nie umiałem. Czułem tylko, że w Jarach jest potężny magnes, którego sile przyciągania oprzeć się nie byłem w stanie. Uległem jej ślepo, fatalnie, wbrew wszelkim perswazjom, jakie rozum tłumnie do głowy mi naprowadzał, streszczając je w następującej zwrotce B. Zaleskiego:

— Wychowańca-ż to pustyni
Jedno dziewczę upokorzy!...

Wyraz „pustyni“ pozostawiałem przez szacunek dla poety, czując, iż zamienićby go należało wyrazem „salonu.“ Owo jedno „dziewcze,“ napełniało mnie podziwem. Wiadomo bowiem, że salonowe wychowanie skierowane jest głównie ku temu, ażeby zadanie serca ograniczyć na mechanicznem funkcjonowaniu, w celu odświeżania krwi. Serce opatrzone jest w klapy, które się odmykają i zamykają. Niech że się odmykają i zamykają, lecz tylko dla rozkładu krwi i powietrza, bez żadnych dodatków, mogących temu rozkładowi przeszkodzić. Tego chciało wychowanie, jakie odebrałem. Byłem młodym, lecz miałem zawsze pierś opuklerzoną. Matka moja, jak matka Achillesa, zapomniała o pięcie. Niestety!... (C. d. n.)

Klasztor pp. Benedyktynek we Lwowie.

Głoszone niedawno po dziennikach krajowych i zagranicznych wieści o tym klasztorze, z powodu Sary Radamskiej, która unikając prześladowań rodzica, znalazła tam schronienie, aby przejść na łono katolicyzmu, dały nam powód do odszukania niektórych dat historycznych dotyczących tego, jako też i innych klasztorów we Lwowie.

Rok 1593 jest rokiem założenia tego klasztoru przez panny Saporowskie, które swój majątek i siebie, regule ś. Benedykta poświęciły. Papież Klemens VIII., przywilejem wydanym r. 1596 klasztor ten potwierdził. Zygmunt III. posiadanie dóbr klasztornych zawarował i nabywanie nowych dozwolił.

Gdy r. 1597 drewniany kościół i klasztor zgorzał, odbudował takowy arcybiskup lwowski Solikowski i pod wezwaniem Wszystkich Świętych poświęcił; klasztor ten w późniejszych latach obwarowany murem, stał się obronnem miejscem naprzeciw napadom hord tatarskich. Gdy r. 1635 Tatarzy Ruś plądrowali i Lwów oblegli, to Adam Dąbrowski z Janem Czernyszynem dzielnie bronili tego klasztoru, który przez trzy dni i nocy, wraz z miastem i zamkiem był oblegany.

R. 1640 przełożoną tego klasztoru została Dorota Daniłowiczówna, ciotka króla Sobieskiego; były to najświetniejsze czasy tego klasztoru, bo go najznakomitsi dostojnicy w kraju, senatorowie, legaci papiezcy, a nawet koronowane osoby odwiedzały, oddając hołd słynącej z nauki, talentów i świętobliwości ksieni tego klasztoru. Stał on się tym słynniejszy zarazem, że onego mieszkanki poświęcały się nauczaniu i pielęgnowaniu młodych dziewic i biednych sierót... Dzisiaj pp. Benedyktynki poświęcają się zawsze tym szlachetnym celom, jednak klasztor ze swej dawnej świetności wiele utracił.

Wzmianka o zniesionych kościołach i klasztorach we Lwowie.

Kto zwiedził Kraków i przejął się duchem katolicyzmu, błyszczącym w mnogiej liczbie domów bożych, tak świetnych, że w dawnych jeszcze czasach zaszczycono ten gród przydomkiem *altera Roma*, kto zoczył bogate gmachy, poświęcone służbie bożej i tysiączne pamiątki, wielkości narodu w tych świątyniach zawarte — mimowolnie patrzy smutnem okiem na stary gród, w którem na teraz skupione jest życie narodowe, na Lwów, odznaczający się tak nieznaczną ilością świątyń. Mniemałbyś, że we wschodniej części Polski służba boża zaniedbaną była, że naród nasz w tych krajach, narażony na napady mściwych hord barbarzyńskich, więcej dbał o władzę oręża, aniżeli o przewagę ducha. Mylnem jednak to zdanie, wszak katolicyzm, a w ogóle chrześciaństwo walczyło zawsze duchem, a duch religijny najsilniejszą znalazł podporę tam, gdzie nie było okazałych świątyń, gdzie dom boży z drzewa wybudowany, w dnie świąteczne tylko skupiał lud nabożny, gdzie największa, najpiękniejsza świątynia przyroda, błękit nieba, sercu zbolałemu nad da otuchy i dwoiła męztwo obrońców wiary. Duch chrześciaństwa zaszczepiony w narodzie samym, po wsiach i miasteczkach, w skromnych dworkach szlacheckich i biednej chatce włościanina, najsilniej się w tych zakątkach zachował, a czem więcej kraj był narażony na napady wroga, czem częściej dom boży podlegał zniszczeniu, tem jaśniej błyszczała wiara, tem sil-

niej krzewiła się między ludem. Przyczyny więc nieznacznej liczby okazałych świątyń nie szukaj wcale w braku religijności i wiary, lecz w innych wcale pobudkach.

Odkąd w rozstroju stosunków ojczystych, ojczyzna nasza w trzy części podzielona, przeobrazić musiała zwyczaje swoje starodawne k'woli nowych władców, odtąd zaczęły znikać klasztory, a ze świątyń niegdyś bożych, powstały zamki, koszary, magazyny i biura rządowe.

Najwybitniej ta cecha nowego rządu ukazała się we Lwowie, po zajęciu Rusi przez rząd obecny i w całej Galicji, podczas gdy Kraków szczęśliwszemi kombinacjami politycznemi nie podpadł wyrokom obcokrajowców, i do dziś dnia samodzielność i byt klasztorów swoich zatrzymał.

Najwyższe postanowienie z dnia 13. Marca 1782 r. (dekr. gub. z dnia 27. Marca 1788 r. i z dnia 26. Marca, tudzież 10. Kwietnia 1782 r., dekr. gub. z dnia 12. Kwietnia 1782 r.) znoszące klasztory wszelkie w Galicji, które nie oddają się kształceniu młodzieży, chodowaniu szkół, lub pieczy chorych, z dniem 1. Maja 1782 r. oznacza oraz sposób postępowania z dobrami i zabudowaniami kościelnemi. Głównie trzymano się zasady, że kościoły i klasztory, które nie mogą być użyte na wyposażenie parafji jakiej po wsiach, lub na cele rządowe, podlegać mają publicznej licytacji; równemu postępowaniu podlegały też dobra kościelne i grunta klasztorne. Odpowiednio temu rozkazowi, zabrano też dobra klasztorne i zabudowania kościelne po największej części na rzecz skarbu i sprzedano w drodze publicznej licytacji. Losowi temu podpadło mnóstwo męzkich i żeńskich klasztorów w Galicji — szczegółowo zaś we Lwowie 27 klasztorów; z tych 12 sprzedano lub użyto na cele rządowe, resztę zaś oddano albo nowo utworzonym parafjom, albo zakładom naukowym, albo w końcu tym innym klasztorom, którym pozostać dozwolono.

(C. d. n.)



Klasztor pp. Benedyktynek we Lwowie.

RIENZI.

Rzymie! na twojem wybladłem dziś czole,
Drży tajemnica wieków zapomniana,
I myśli drzymią Kwirytów sokole
Zwarzone mroźnem spojrzeniem tyrana.
Na twojej piersi w katakomb pomroce,
Spi całe wojsko stalowych rycerzy,
Nad ich głowami próżny tłum świergoce
Piosnkę rozpusty i szepty pacierzy;
A u stóp twoich z rozpaczą na twarzy,
I z wieków myślą na wybladłej skroni,
Ostatni kapłan spi u twych ołtarzy,
Ostatni trybun do nóg ci się kłoni,
Z kruszcu twych dziejów mieczem wykowany,
Twojej przeszłości stoi on na straży,
Krwawym rumieńcem słońc twoich oblany,
Pomnik dla ciebie, a wzór dla rzeźbiarzy.

Darmo nad głową wieków błyskawica
Przeszła mu straszna z słowy Baltazara,
On świeci ludom, jak myśli gromnica,
Jak twa ostatnia przeszłości ofiara,
Rzymie! skarlały Tytanie pamiątek,
Niezdolny wykląć z piopiołów mściciela,
Jednegoś tylko wydał marzyciela,
Ale ten stanie twej pieśni na wątek.

Przysięga.

Gdy wieków myśli zgrzybiałe rozłamię
I prawdy szukam w tych olbrzymów gronie,
Każda myśl prawdę i uczucie kłamie,
Każda miłością dla ludzkości płonie.
Ale gdy myśl tę znów potniesz w kawały,
I z każdej cząstki dobędziesz człowieka,
Będziesz mieć znowu świat nudny, skarlały,
Przed którym prawda poświęceń ucieka,
I będą wieków postacie malały
Przed okiem twojem, a piersi olbrzyma,
Co w swe ramiona świat chciał objąć cały,
Wcisną się w formy modnej kamizelki.
I powiesz wtedy: „Tu miłości niema,
I świat ten pusty, choć ludny, choć wielki."
Lecz nie sądź skoro. Wśród tłumu gawiedzi,
Co ciepłe serce lodem życia chłodzi,
A wzrok ma słodki, czoło zimne z miedzi,
I drogę życia złotem sobie grodzi,
Co na kurhanach straconej przeszłości,
Płacze przed światem łzami krokodyla,
Siejąc kłamany hymn żalu, miłości,
Poznasz i ludzi, którym Bóg odchyla,
Prawdę poświęceń i drogi ludzkości.

Wieczór był jasny, na niebios sklepieniu
Złoto gwiazd drżało w szafirów topieli,
I księżyc niknął w bladych chmurek cieniu,
Jak złota rybka w łzach wodnej kąpieli;
W dole Rzym stary z pooranem czołem,
Śnił o przeszłości i nizał pacierze,
Ruiny wieków obsiadły go kołem,
Jak pordzewiałe nad łożem koncerze,
Gdy słaba ręka i myśl wojownika,
Niezdolna życia tchnąć w stare żelaza,
Bo mózg i serce rdza wieków przenika,
Bo mu na duszy widna zwątpień skaza.
Tybr tylko wiecznie młodością zielony,
Szarą wód wstęgą podmywał zwaliska,
Czasem o brzegi uderzył spieniony,
Jakby dłań ciasną już była kołyska,
W której go wieków spowiła piastunka,
W której przemarzył pierwsze życia zorze,
Z której powitał świat słońca i morze;
Jakby mu nudną już była koronka
Której Rzym starzec dokończyć nie może.
I cicho było — pod gwiazd baldachimem,
Skryły się wszystkie ludzkości marzenia,
Śmiechy, szyderstwa i jęki cierpienia.
I cisza była głęboka nad Rzymem.
Rzym, miasto świata, siedmioma ramiony
Podpiera niebu szafirowe stropy,
Czoło zorane i włos ma zbielony;
Po czole myśli wiekowej ukropy
Zbiegając wszystkie znaczyły marzenia,
Sny ciche dziecka, młodzieńca natchnienia,
I czyny męża, te loty sokole,
Goniące chwały jasną aureolę,
Po których starość następuje cicha
I liść wawrzynu na grobie usycha.
Na Awentynie tam zwalisk niemało;
Na potrzaskanych wiekiem obeliskach
Chwały się dawnej kilka szmat zostało,
Jak garstka iskier w zgasłych popieliskach.
Po nad gruzami w girlandy i wieńce
Wiją się sploty pomarańcz i róże,
Na bladej twarzy te nikłe rumieńce,
Starych pomników zniewieściali stróże.
Na Awentynie wśród gruzów przeszłości
Kilka się kolumn pnie dumnie do góry,
Była tu kiedyś świątynia wolności —
Dziś bazaltowym jej synom nie w chmury
Nieść złote głowy i pogodne czoła,
Ani w królewskie stroić się purpury,
Bo dziś... ha! piekło! niewola dokoła.
Wśród cichych kolumn na odłamie z głazu,
Stał młodzian czarną osłonięty togą,
Na czole drżał mu dumny znak rozkazu,
Obcy tym ludziom co pojąć nie mogą
Potęgi ducha i piorunu woli,
Których zabija każdy wzrok sokoli,
Każde skrzywienie się niestałej doli.
Około niego w poważnem milczeniu,
Stu stało ludzi osłoniętych w maski,
W rękach, przy bladem księżyca promieniu
Sztyletów niepewne drżały im blaski,
Jak z gwiazd rumieniec, gdy na srebrnej fali,
We łzach się wody odbija i pali.
„Bracia! — rozpoczął ów młodzian wybladły,
„Wieki już Rzymian przygniata niewola,
„Pomniki sławy pogniłe upadły,
„A nam czyż inna może patrzy dola?
„Baronów naszych dziś miedziane czoła,
„Obcym przybyszom gną się w proch pod nogi,
„Darmo ojczyzna i wolność ich woła,
„Podłość im inne wyznaczyła drogi,
„Więc precz z podłymi! niech łaska tyranów
„W duszy im piętno wyryje shańbienia,
„Niech się czołgają u nóg swoich panów,
„W sercu z rozpaczy piekłem i zwątpienia.
„Ja rzucam na nich przekleństwo narodu!
„Niech będą jako drzewa liść zwiędniały,
„Bez słońca, rosy, wśród wiecznego chłodu,
Z myślą wciąż w przeszłość obróconą zdradną
„Niech na nich jadem świat ten pluje cały,
„I niech tak w ciemni wiekowej przepadną.
„My zaś ojczyźnie zdradzonej przez synów
„Życie i mienie dajemy w ofierze,
„Niech Bóg ofiarę tę naszą odbierze,
„My przysięgamy!“ — i padł na kolana,
I twarz mu barwą zalśniała rubinów,
Duchem poświęceń anielskim owiana.
„Tak przysięgamy na krew Zbawiciela,“
Krzyknęła chórem rycerska drużyna;
„Że w nas ojczyzna będzie mieć mściciela,
„Że w nas swój żywot na nowo poczyna.“
I klękli razem, a w blasku księżyca —
Z masek ponurych odsłoniwszy lica —
Nadziemskim jakimś jaśnieli urokiem;
Rzekłbyś, że dusz tych barwa przeźroczysta,
W sine oddala, płynie wraz z obłokiem,
Anielską wonią prześwięta, przeczysta.

(C. d. n.)

Gospodarstwo i przemysł.

— **Sadza jako materjał opałowy.** Wiadomo, że w czasie gorzenia znaczna część palnego materjału niszczeje w postaci sadzy, osadzającej się na ścianach kominowych. Chcąc zabezpieczyć się od takiej straty, pewien chemik w Dreźnie wynalazł sposób zamieniania sadzy na materjał opałowy. Po wielu próbach doszedł on do tego, że pomięszawszy sadzę z wodą dziegciową, albo ze słabszym octem, otrzymuje z tego mięszaninę, dosyć gęstą, która wystawiona na powietrze, twardnieje powoli i daje masę podobną do węgla kamiennego. Twarda ta masa bardzo szybko się zapala i daje bardzo silny ogień. W Niemczech wynalazek ten zwrócił na się uwagę i w wielu miejscowościach powstały już fabryki, przerabiające sadzę na materjał opałowy.

— **Środek przeciw ospie owiec.** Najnowsze pisma gospodarskie podają ten środek w następującej osnowie: Bierze się półtora łóta świętojańskiego ziela (*Hypericum perforatum*), półtora łóta dziewięćsiłu (*Carlina acaulis*), 8 łótów czarnej siarki, półtora łóta skabiozy (*Scabiosa succisa*), półtora łóta kminku, kwintel czarciego łajna (*Asa-foetida*) i pół kwintla kamfory; to wszystko tłucze się na drobny proszek, miesza się dobrze i daje się owcom dwa razy na rok, t.j. na wiosnę i w jesieni. Przepisaua porcja wystarczy na raz dla 400 owiec. Gdziekolwiek ospa między owcami wybuchła, tam należy natychmiast użyć tego lekarstwa, gdyż łagodzi wielce tę chorobę.

— **Użycie gliceryny przy naczyniach drewnianych.** Użycie gliceryny w gospodarstwie, okazało się bardzo praktycznem. Naczynia drewniane, zanurzone przez kilka minut w gorącej glicerynie, albo przeciągnięte nią kilka razy, nie zesychają się, choć są próżne i wystawione na działanie słońca, są zawsze całkiem szczelne i obręcze czy to żelazne, czy drewniane, trzymają się na nich tak mocno, jakby były świeżo nabite. Napojone gliceryną obręcze drewniane, zachowują po trzechmiesięcznem wystawieniu na słońcu i powietrzu, giętkość świeżych. Ponieważ jednak gliceryna w wodzie i spirytusie się rozpuszcza, można więc w naczyniach napojonych gliceryną przechowywać głównie tłuszcze, oleje, terpentynę i ciała twarde; przyczem jeszcze zwrócić należy uwagę, że gliceryna prawie całkiem się nie zmienia w skutek działania powietrza, więc też niema obawy, żeby ciała przechowywane w tych naczyniach, nabrały nieprzyjemnej woni lub smaku, owszem zauważano, że gliceryna działa bardzo korzystnie na masło, przechowywane w takich naczyniach i obręczach, które dłuższy czas bez użytku mają być przechowywane.

— **Nowa metoda leczenia zarazy bydła.** Tyle poniósłszy już i ponosząc jeszcze szkody od księgosuszu, przemyślni Anglicy wszelkich używają środków, aby pozbyć się tej klęski, która nielitościwie niszczy owe pyszne ich stada. Najskuteczniejszem dotąd lekarstwem pokazał się chloroform. „Farmes Magazine“ w Nrze 4. tak działalność tego środku opisuje, stwierdzając ją faktami: Przeszłej wiosny posiadał pan Aylmer śliczne stado Shorthorn ze 106 sztuk bydła się składające, które obecnie do 44 zredukowanem zostało. Zeszłego roku w Kwietniu objawiła się zaraza. Pan Aylmer zawiadomił o tem natychmiast władze, dodając zarazem, iż nie zezwoli nigdy na zupełne wybicie tak cennego stada, ale prosi o pozwolenie czynienia prób, celem wyratowania choć części jego. Postanowienie podobne wzbudziło naturalnie w ministerjum wielkie nieukontentowanie, nim wszakże coś stanowczego przedsięwzięto, przeszło dosyć czasu, zanim pan Aylmer mógł coś wiedzieć o skuteczności podobnego wystąpienia. — Tymczasem kuracja szła na dobre a kilka sztuk zostało uratowanych, które już w najwyższym stopniu choroby się znajdowały. Pod tę porę nadeszło zezwolenie ministerjum na leczenie bydła pod kontrolą władz, zamiast całkowitego wybijania. Całe postępowanie odbywało się pod okiem i kierunkiem prof. Simonds.

Każda krowa jak tylko oznaki choroby na niej pojawiać się zaczynały była chloroformowaną, a po ocuceniu, silnemi pokarmami pasioną. Dawano n. p. ospę z lnianem nasieniem ugotowaną, do tego szklankę spirytusu i cokolwiek chloroformu (w stosunku jak 2 unc. do jednej Pinty, (43³/₈ cali kub.) spirytusu). — Sposób chloroformowania był następujący: bydlę kładziono i dawano mu do wąchania chustkę nakropioną chloroformem, dosyć było zazwyczaj 5—7 minut ażeby uspić zupełnie.

Listy ze wsi.

I.

(*Zamiast wstępu jeremiada — ciocia Pelagja i dyssertacje polityczno-gospodarskie p. Nikazego — Kłopoty korespondenta i finalna alokucja do redaktora i czytelników*).

Stary to już i oklepany frazes, iż nie ma pod słońcem nieszczęśliwszych istot nad beletrystów. Ale jakżeż zarazem i prawdziwy!... Ród ten biedny Bogu duszę winien, a tak niestety prześladowany jak żadne może

żyjące stworzenie na całym globie ziemskim, od kolebki już skazany na ciągłe męki i cierpienia, jakie pospolici ludzie dopiero na drugim świecie przebywać mają. Toż niejeden z tych nieszczęśliwców mógłby śmiało powtórzyć za Herem Armeńczykiem:

Cierpienia moje i męki serdeczne,
I ciągłe walki z szatanów gromadą...

Z szatanów?! Tak jest. Bo czyż nie prawdziwi szatani to dla biednych autorów owe niezliczone gromady zoilów z fachu i nie z fachu, krytyków z powołania i amatorów, począwszy od szeroko rozbujałego rodu recenzentów gazeciarskich z wywiędłą twarzą i okularami na nosie aż do młodziutkich czytelniczek, wypisujących swoje niezadowolenie na marginesach powieści; od ostrych krytyk dziennikarskich aż do niewinnych ploteczek przy herbatce, w których rej zwykli wodzić nieszczęśliwi amanci, zdyskredytowani kawalerowie z bawełną w uszach i panny z skończoną dwudziesto-dziewiątą wiosną żywota, lubujące się w Rinaldinim i Życiu św. Genowefy, a zaczynające już sarkać na niewdzięczność męskiej połowy rodu ludzkiego! Ale gdyby tylko na tem się kończyło! Gdyby! Byłby to jeszcze raj, drugi Eden na ziemi dla znieszczęśliwionego rodu literackiego, którego cierpienia i kłopoty nie mojemu pióru opisywać!

— Panowie, co piszecie... — mówiła raz do mnie szczebiotliwa blondyneczka z figlarnie zadartym noskiem i troszka złośliwie przyciętemi usteczkami — jesteście podług mnie najniegodziwszymi z ludzi. Zbieracie sobie wzorki z najniewinniejszych w świecie istot, wyśmiewacie wszystkich i wszystko, czy zasłużone czy niezasłużone, a na domiar tego złego dla własnego zadowolenia pakujecie niejednego nieboraka w ramki powieściowe, i wystawiwszy go Bóg wie za co pod pręgierz śmiechów czytelniczek i czytelników, wciskacie się znowu z ciekawemi okularami za nową zdobyczą, za świeżą ofiarą!... A niegodziwi, niegodziwi!

Wysłuchawszy do końca gorzkiej oracji niemiłosiernej mojej kaznodziejki bąknąłem zbity cokolwiek z tropu.

— Ależ to są uprzedzenia! uprzedzenia nieszczęśliwych istot, które...

— Które niewarte są stąpać po tej bożej ziemi — przerwała mi żywo moja filantropka, które można śmiało policzyć do tygrysiego rodzaju nieprzyjaciół rodu ludzkiego, do...

— Ależ przepraszam!... — przerwałem, mitygując moją młodą kaznodziejkę... i urwałem!... bo na moje nieszczęście wmieszała się do rozmowy ciocia Pelagja, najzawziętszy nieprzyjaciel wszelkiego rodzaju płodów literackich:

— Ot nieobrażałbyś pan Boga swojem gadaniem, Boże święty, szkoda papieru, co się tam go napsujecie na te tam jakieś historje lub awantury! Boże święty!

— Ależ pani Dobrodziejko... racz pani zważyć, że...

— A ja zważam i bardzo zważam, ale na to że panowie tylko psujecie nam młode dziewczęta, zawracacie im temi historjami głowy!... Boże mój święty!...

Zauważałem z przerażeniem, że żółta chusteczka, którą ciocia Pelagja obwiązywała się pod brodę (cierpiąc na wieczną fluksję) przekrzywiła się trochę na bakier. Było to dla mnie bardzo nieobiecującym znakiem. Podobnych ekscesów pozwalała sobie ukochana chusteczka cioci Pelagji tylko w chwilach nadzwyczajnego niezadowolenia jej właścicielki. Skruszony więc czekałem strasznego końca burzy. Lecz ostatnia moja w takich razach ucieczka, panna Melanja nasrożyła także mocno swoją twarzyczkę — o interwencji więc ani mogłem myśleć. Tymczasem ciocia Pelagja pracowała nad mojem nawróceniem. Cytowała mi wszystkie rożańce z Drogi do szczęścia prawdziwego, a ja tymczasem szukałem pociechy w mojej chustce od nosa, którą ze zmartwienia skręciłem cztery razy w pytkę, a po raz piąty i szósty otarłem nos tak nielitościwie, że mi aż łzy stanęły w oczach, a w duszy zaczęło się rodzić straszne postanowienie! Przyrzekałem sobie od owej chwili nigdy już więcej nie zbliżać się do atramentu i wszystkiego co ma z bibułą i kałamarzem do czynienia!...

Lecz dobrze to ciocia Pelagja powiada, że w wielkiem nieszczęściu i strapieniu bardzo skutecznem jest odmówić krótką modlitwę do św. Antoniego, którą mi przed sześciu miesiącami odpisała z „Drogi do szczęścia prawdziwego." W tak krytycznej dla mnie chwili zacząłem już pierwsze słowa odmawiać, gdy we drzwiach ukazał się prawdziwy ratunek z nieba w postaci szanownego gospodarza, pana Nikazego, który na powitanie kichnął tak głośno, że cioci Pelagji spadły złote okulary z nosa, a żółta chusteczka przeniosła się z lewego na prawe ucho:

— Setnych lat panu braciszkowi!

— Wiwat! krzyknąłem uradowany tak przybyciem p. Nikazego, żem omal nie zawołał: Wiktorja!

Tymczasem sprawa wytoczyła się przed trybunał gospodarza. Pan Nikazy słuchał, słuchał, ale nieusłyszawszy nic ani o ucieczce Garibaldego z Kaprery, ani o podróży Szacha Perskiego na Zachód, zadecydował, że:

— Bardzo to wszystko względne.

(Wyraz „względny" miał dla p. Nikazego wielostronne i szczególniejsze znaczenie. Używał go zwykle do rozwiązania zawilszych kwestji). Na moje szczęście nastąpiło stanowcze zamknięcie dyskusji tym tak szczęśliwie przez zacnego mego zbawcę aprobowanym sposobem. Pan Nikazy rozpoczął natomiast rozwodzić się nad strasznymi skutkami rewolucji na półwyspie pirenejskim, z czego naturalnem następstwem rzeczy przyszedł do projektu radnego Herbsta o zaprowadzeniu ślubów cywilnych w państwie austrjackiem, a zakończył konsekwentnie ostatnimi rozruchami w państwie papieskiem. Wskutek tego ciocia Pelagja dostała silnego bolu, fluksji i zaczęła aprobować płukanie z szałwii i ślazu, a wasz nieszczęśliwy zmaltretowany korespondent zaczął sobie w myśli układać projekt utworzenia drugiego „Towarzystwa czynnej miłości bliźniego," a w szczególności wszystkich korespondentów, powieścio-pisarzy etc. etc.

Ale bodaj to poczciwi ludzie na świecie! Gdyby nie p. Nikazy, kto wie, coby się ze mną stało. A tak uratował mnie najpierw od oczywistego nieszczęścia, oświecił w sprawie kwestji wschodniej, o której (muszę sobie oddać tę sprawiedliwość) do dziś dnia bardzo słabe miałem wyobrażenie, a w dodatku dowiedziałem się, że za kartofle na jarmarku w Radziechowie dają już po 2 złr. 40 cnt. w. a.! (Powiedział mi także na ucho, ale bądźcie łaskawi zatrzymać to w sekrecie, że p. Ignacemu zgrzał się zupełnie chmiel, gdy go odtransportowywał Russmanowi do Lwowa, do tego stopnia, że zamiast po 100 dostał ledwie po 50 złr.! Nieuwierzycie, jak mnie to zmartwiło. Ale wracam do rzeczy).

Mimo to wszystko, anatema cioci Pelagji zaciężyło na mej głowie ołowiem w owym feralnym dla mnie dniu. Bodaj żeby się na pierwszych nieszczęściach skończyło! Ale gdzie tam!...

Rozmyślając w domu nad tematem listu „Tygodnika lwowskiego" obgryzłem dwa gęsie pióra i zaledwie z wielką mozołą napisałem trzy początkowe wiersze, gdy lokaj przyniósł mi gazety i listy z poczty. Otwieram pierwszy list i ze zgrozą czytam co następuje: „Szanowny Panie Dobrodzieju! Znając szczególniejsze zamiłowanie P. D. do zajmowania się rzeczami, które nie koniecznie go obchodzić winny, ostrzegam, byś się miał na baczności. Słyszałem bowiem, że pan masz pisywać jakieś „Listy ze wsi" do „Tygodnika lwowskiego." Radzę Panu, byś się w osobistości nie wdawał, inaczej będzie z Waszmością kuso. Zapewne musiałeś pan słyszeć, że umiem strzelać w lot jaskółki.

Sługa

Dydak Cyryak Bum, były kapitan artylerji.

Pociemniało mi ze strachu w oczach. W drugim liście czytam: „Szanowny Panie! Dowiedziawszy się, że w listach pańskich do „Tygodnika lwowskiego" masz pan pisać o muzyce i śpiewie, ostrzegam, byś o talencie żadnej z moich córek niechciał wspominać. Znane mi są jego słodziutkie spostrzeżenia w tym względzie. Zresztą zwracam pana uwagę na to, że wkrótce kompetentniejsi recenzenci będą mieli sposobność usłyszenia mojej córki na wieczorku muzykalnym we Lwowie, gdzie odśpiewa wielką arję na tema: „Wlazł kotek na płotek" i odegra na fortepianie najnowsze dzieło F. Tymolskiego p. t. „Patti-Polka."

Uniżona sługa

Anastazja br. Mruczkowska, matka czterech cór na wydaniu.

Zgłupiałem do reszty!... Ale na tem nie koniec. Otwieram trzeci list — słuchajcie! „Mój Mości mocium Dzieju! Dowiedziałszy się, że Acan Dobrodziej aczkolwiek syn obywatelski, jesteś jednakowoż literata i pisujesz jakieś tam wierszydła i powieści, a chcąc zapobiedz złemu, które Mocium Dzieju nastąpić by mogło, gdybyś Acan Dobr. zechciał Mocium Dzieju próbować częściej swego talentu wpisywaniu n. p. od i sonetów do której z moich córek, upraszam go, byś zaniechał łaskawemi swemi wizytami protegować ród literacki w moim domu. Acana Dobrodzieja sługa i podnóżek

Anatazy Damazy dwojga imion *Obornikowski*,
właściciel Hreczkowic i Gnojowa.

Oburzony srogą niewdzięcznością ludzką, przeklinając smutny zawód korespondenta i powieściopisarza, rozdzieram pieczątkę czwartego listu i... o zgrozo!... boleśny, gorzki okrzyk wydobył mi się z ust: *Et tu Brute contra me!* Słuchajcie: Szanowny Panie! Nauczony doświadczeniem, że Pan w korespondencjach swoich lubisz podawać sprawozdania z dzieł, których zwykle niemasz czasu z uwagą odczytać, upraszam, byś się uwolnił od zmudnego przeglądnięcia ostatnich moich poezyj, które wyszły p. t.: Erotki t. II. i Rymy akademika tomów 3 i znalazły już powszechny rozgłos w kraju i za granicą. Upadam do nóg

Bzikowski, poeta.

Włosy stanęły mi na głowie. Na dobitek tego wszystkiego, ostatni list kobiecą rączką zaadresowany, przesłał mi w kuwercie stare jakieś wydanie „Filona i Laury." Było to złośliwe *incognito*. A dam wam szyję za to, że niesłuszne, bo i pani br. Mruczkowska i pan Obornikowski, którzy mają przecież córki na wydaniu, mogą najrzetelniej poświadczyć, że się nie kocham!...

Ot widzicie — ile klęsk i nieszczęść wiąże się z jednem dotknięciem gęsiego pióra! Pociesza mnie tylko dziś Rzymianin starem swojem przysłowiem: *Solamen miseris socios habuisse malorum!* Zauważałem bowiem, że i szanowny wasz kronikarz w pierwszym numerze „Tyg. Lw." narzeka na niewdzięczny swój chleb!... Ale rozpisałem się nie bacząc, że zniecierpliwiony redaktor zaczyna kręcić nosem i radby już doczekać się końca listu — i... czegoś... czegoś essencjonalniejszego, choćby w końcu przynajmniej! Ale nadaremnie czekasz szanowny redaktorze! Tą razą nie ja, ale dalibóg że ciocia Pelagja i jej straszne anatema winno, żem się rozgadał *de lana caprina* i pożegnać się muszę tylko... przyrzeczeniem, że z przyszłym listem będę o wiele więcej interesującym. Adieu!

Twój

Hyacynt Pafnucjusz z Baryłkowic.

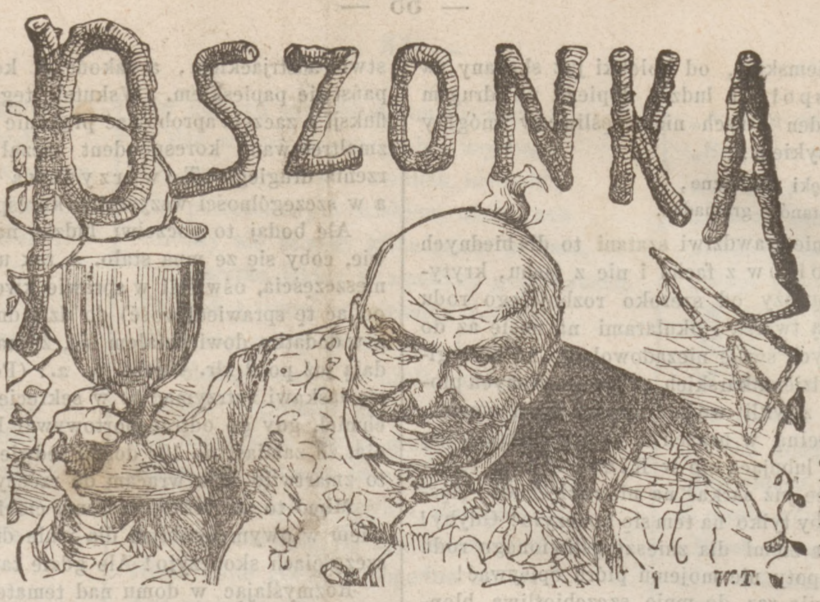
Popularne wykłady.

Pan Strzelecki puszcza *bąki*.
O himernych krówkach prawi,
Pszonka piecze chléb z tej mąki
I wykładem się tym bawi.

Okropny wypadek.

Syn słońca a brat księżyca pałając nieubłaganą nienawiścią do Polaków, obił „Narodowego“ mandaryna tak potężnie *humbugowym bambusem*, iż ten pod okrutnemi razami wyzionął strapionego ducha. Ciało zamordowanego mandaryna przesłano jako *corpus delicti* do pekińskiej rady państwa, a dzienniki miasta Honolulu uroniły z tego powodu dwie łzy krokodyle.

Wiarogodność powyższego poręczają radni miasta Hono-lulu. Pszonka i Bąk.



Telegramy Pszonki.

Wiedeń. Pan Beust jest wielkim mężem stanu! (zapewnia nas o tem pewien krawiec, który mu wczoraj brał miarę. Przyp. red.)

Rzym. Do zamku św. Anioła wzbroniony przystęp! Zdaje się dla tego, że ludność rzymska wciąż grzeszy przeciw władzy papiezkiej; p. r.

Paryż. W ogłoszonej mowie cesarza Napolena zaszła pomyłka druku: zamiast pokój będzie zachowany, powinno być: (miejsce nieczytelne) *pochowany*; przy. red.

Skromne zapytanie.

Jeżeli kula działowa nabita według systemu Amstronga uleci w jednej sekundzie n. p. ćwierć mili, stawia się pytanie: w jaki sposób należałoby nabić Wydział krajowy, ażeby co lat sześć ruszył się z miejsca choć o kilka kroków naprzód.

Pogadanki Pszonki.

Na samem czele dzisiejszej pogadanki mojej winien jestem sprostować mylne zdanie, do którego dało powód pojawianie się moje we Lwowie. Ponieważ bowiem z różnych kronik starych i herbarzów wiadomo, że Pszonkowie *quondam* mieli siedzibe swoją w Babinie, więc niektórzy wzięli ztąd *assumpt* do mniemania, jakoby dzisiejszy Lwów niebył niczem innem jak tylko starożytnym Babinem. Otóż wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że między obydwoma temi przezacnemi miejscowościami, zachodzi pod pewnym względem niesłychane podobieństwo, a mianowicie każdy przyzna, że gdy w Babinie zwykliśmy byli dla żartu mianować nieraz głupca senatorem, tchórza hetmanem, rozpustnika biskupem, to i we Lwowie znajdzie się także — ale niestety nie dla żartu, niejeden *lucus a non lucendo*: mimo to jednakże na obronę mojego gniazda zmuszony jestem powiedzieć, że tej waszej nadpełtwiańskiej mieścinie nie równać się z Babinem. Macie tu wprawdzie senatorów, hetmanów, biskupów, ale wszystko to bez żadnego dokumentu lub dyplomu, któryby miał walor w szerszych kołach i zapewniał dygnitarzom waszym uznanie współczesnych i sławę u potomności. Chcąc przyczynić się czemkolwiek do sławy waszego grodu i porównać go jako tako z Babinem, rozpisuję niniejszem konkurs i przyrzekam co następuje:

1) Dyplom na hetmana wojsk rzeczypospolitej babińskiej otrzyma każdy magnat, szlachcic lub mieszczanin, który ze strachu o los propinacji wiejskiej i miejskiej zapomni języka w gębie, gdy będzie mowa o tem, by syn jego chował się na Niemca. *)

2) Dyplom senatora lub honorowego doktora utriusque juris otrzyma każdy, bez względu na jego czworo- lub dwunożność i na długość uszu, skoro dowiedzie, że głośno i jawnie utrzymywał, iż wierzyciel, zrzekający się intabulowanej na jego korzyść należytości, staje się przezto dłużnikiem. **)

3) Ktoby mając 80.000 złr. rocznego dochodu odmówił wsparcia biednej gminie, zbierającej składkę na odbudowanie spalonej szkółki ludowej, ten jako propagator ewangelicznego ubóstwa i pierwiastkowej prostoty ducha, mianowany będzie biskupem *in partibus* rzeczypospolitej babińskiej. ***)

4) Kto pokąsa drugiego sercem, (za pomocą zębów) ten otrzyma tytuł nadwornego kondla — rzeczypospolitej babińskiej i obróżę z dewizą: „Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę.“

5) Kto wysłany za granicę kraju, n. p. do Wiednia, dla bronienia ważnych spraw krajowych, w stanowczej chwili wyjedzie z tamtąd do wód, albo w interesach familijnych, n. p. na Ukrainę, temu postawiony będzie na wysokim zamku pomnik ze śniegu, w kształcie białej niemieckiej szlafmycy i otrzyma wotum ufności w postaci dekretu na dyrektora kancelarji dyplomatycznej w Babinie.

6) Kto zaś pozostanie na miejscu i najświetniej ze wszystkich się zbłaźni, temu Pszonka odstąpi ster rzeczypospolitej babińskiej, a sam na jego miejsce wystąpi jako kandydat na posła z większych posiadłości ziemskich. ****)

Wszystkie te zaszczyty, wraz z nazwiskami tych, którzy je otrzymali, drukowane będą swojego czasu w niniejszym moim organie półurzędowym, tak dla oddania hołdu prawdziwej zasłudze, jak i dla zachęcenia ogółu do naśladowania chwalebnych przykładów. (MP.) *Pszonka.*

---

*) Kandydaci już się znaleźli do tego dostojeństwa; przyp. red.

**) Punkt ten nie zostaje oczywiście w żadnej styczności z intabulowanym na rzecz miasta Lwowa obowiązkiem fundacji Skarbkowskiej, utrzymywania sceny niemieckiej we Lwowie; przyp. red.

***) Kandydat do tej godności musiałby zapewne być także przeciwnikiem krajowej Rady szkolnej.

****) Boimy się, żeby Niemcom nagroda ta nie wydała się *ganz gross-artig*; przyp. red.

Niepewna egzystencja.

W Wiedniu.



Excelencja: Przychodzę do Pana p. bankierze prosić Cię o rękę twojej córki. Bankier: Z kimże mam zaszczyt mówić? Excelencja: Jestem ministrem finansów. Bankier: O daruj Excelencjo, że Ci odmówić muszę, sam bowiem wiesz, że w Austrji minister finansów — dziś jest tu, a jutro tam.

A u nas.



Bańkier: Szanowny Panie! nie bądź okrutnym dla twojego dziecka i oddaj mi ją za żonę. Dorobkiewicz: Z kimże mam przyjemność mówić? Bańkier: Jestem redaktorem humorystycznego pisma. — Dorob.: Szanuję takich ludzi, ale wybacz, że ci mej córki, a nadewszystko mego worka oddać nie mogę, sam bowiem wiesz, że humoryści dziś są tu a jutro tam.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.